

Władysław Terlecki

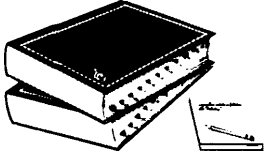
Brulion

Palestra 40/7-8(463-464), 131-133

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Władysława TERLECKIEGO BRULION

Życie salonowe toczy się, jak zresztą do tego przywykliśmy, dość niemrawo. Po artystycznych salonach pozostały już właściwie jedynie wspomnienia i rzewne opisy starych pamiętnikarzy. Odeszły w przeszłość tak samo, jak snobizmy niegdysiejszych arystokratów oraz przedstawicieli dawnej finansjery. Nim odżyją znów tamte salony minie zapewne sporo czasu. Najpierw trzeba będzie odzyskać wszystkie zagrabione majątki, uciułać trochę grosza, a potem zastanawiać się co lepiej robić: bawić się w zajęcia charytatywne czy może raczej wspierać artystów.

Dzisiejsi potencjalni mecenasowie nie myślą na razie o salonach, bo niby do czego miałyby im one służyć? Po co wyrzucać pieniądze w błoto. Trzeba to zrozumieć. Aby mogli udzielić odpowiedzi na postawione wyżej pytanie o cel, musi upłynąć wiele czasu. Nie stanie się to z pewnością za ich życia. Jeśli nie zbankrutują, a nadal obrastać będą w majątek, rolę mecenasów przejmą, być może, dopiero ich późne wnuki. Ci zdołają nabyć nieco ogłady i być może, po zdjęciu białych skarpetek, wraz z potomkami rodów artystokratycznych, którzy również odzyskają wreszcie swój utracony status społeczny, zechcą wspólnie bawić się w rozmaite artystyczne snobizmy.

Nie ma się zatem czemu dziwić, że życie salonowe toczy się tak niemrawo. Gdyby nie salony polityczne, pewno nie istniałoby ono w ogóle. Salony politycz-

ne – trzeba to od razu powiedzieć – nie przypominają dawnych obiadków czwartkowych, na które król przychodził, jak głosi legenda, z własnej, nie przymuszonej okolicznościami politycznymi, woli.

Tymczasem zbliża się okres gorączki wyborczej i poniekąd stare wygi polityczne przypominają sobie o tym, że trzeba się już energicznie zabrać do roboty. Dobrze przy tym czasem pogłębzić o kulturze i zjednać sobie w ten sposób poparcie prominentów życia kulturalnego. Zawsze się tak robi i przywykliśmy już do tego rytuału. Dobrze więc, jeśli się cokolwiek pokadzi różnym autorytetom artystycznym. Jest kilka takich nazwisk, które przeciętny polski wyborca kojarzy sobie z różnymi zasługami. Warto ich zatem zagonić również do przedwyborczej roboty. Ale przedtem trzeba jednak to i owo obiecać. A więc przyklasnąć tym samym zawsze lamentom pieszczochów. Obiecać im coś z pańskiego stołu, jeśli zdobędzie się upragnioną władzę. Potem i tak ma się tych panów z głowy. Niech w końcu artyści robią swoje. Jak się postarają i przyłożą do roboty, można ich potem pochwalić. Nawet nagrodzić, choćby wspólnie się z nimi fotografując. Wyjadacze znają dobrze słabości swoich podopiecznych, o których względy zaczynają właśnie zabiegać. Niektórym śnią się przecież kariery polityczne. Innym przyrządowe synekury.

Trzeba się również liczyć i z tym, że po takim przedwyborczym poklepywa-

niu kiedy już owym autorytetom skapnie coś na otarcie łez z pańskiego stołu, zaczną oni po pewnym czasie powtarzać swoje stare lamenty, jak to, że władza nie dba o kulturę, że lekceważy rozwój duchowy społeczeństwa. Nie trzeba się temu dziwić. Jedni lamentują, bo się łudzili, że osiągną więcej, inni dla odmiany podnoszą głos sprzeciwu, bo im głupio wobec własnych środowisk. To też wlicza się w rachunek.

Tymczasem wytrzepano dywany w pałacu prezydenckim. Poproszono kilku fotografów i powtórzono to, co każda władza, z mniejszym lub większym wdziękiem, wykonywała od lat wielu. Stroskani twórcy jak zwykle podczas spotkania lamentowali, ale – to jest rzecz zasługująca na odnotowanie – udzielono im również tym razem pewnej reprimendy. Jeden z urzędników prezydenckiej kancelarii skwitował spotkanie tak, jak robiono to dawniej, w latach niezbyt przyjemnie kojarzących się z podobnymi przyganami zaproszonym gościom. Powiedział więc, że lamenty to nie wszystko. Trzeba się nad nimi nieco zastanowić, ale niech wcześniej artyści sami powiedzą, co zrobili, aby pokazać wreszcie dramaty życia i jak ukazują dziś w swoich dziełach losy współczesnych? To jest przecież zadanie artysty. Nie zaś ciągle gładzenie, że państwo nie dość wspiera kulturę, że ustala budżet na ten cel w sposób kompromitujący. Innymi słowy, urzędnik radzi, by zajmować się swoim: pisać, malować, komponować, robić filmy, wystawiać sztuki, w których uda się może odtworzyć współczesną rzeczywistość.

Czy pan ten ma prawo do wygłaszania takiego apelu? Takie samo jak inni. Ale nie powinien udawać, że czegoś napraw-

dę ważnego w tym wszystkim nie rozumie. Jest bowiem na swoim stanowisku nie po to, aby wystawiać artystom cenzurki. Życie kulturalne to coś więcej niż oceny, dawane wraz z herbatką przedstawicielom świata sztuki. Ów pan musi wiedzieć, że jego zadaniem jest dbanie o powszechny dostęp do kultury. Nie ma bowiem rozwoju życia kulturalnego bez prawa do powszechnego uczestnictwa w kulturze. To właśnie stan upowszechnienia powinien być przedmiotem największej troski. Także w pałacu prezydenckim. Umiera bowiem w Polsce związek między światem kultury a zapleczem społecznym.

Mamy program jakiegoś zdumiewającego upowszechniania analfabetyzmu. Przynosi on już widoczne, czasem nawet zatrważające wręcz, skutki. Sięgnijmy po kilka przykładów. Z ostatnich badań wykonanych przez międzynarodowe ośrodki badawcze wynika, że blisko połowa absolwentów szkół podstawowych nie umie przeprowadzić takich nawet czynności, jak właściwe odczytanie recepty na aspirynę. Śmiech wśród polskich polityków wzbudza czasami przypominanie, że w sprawach związanych z upowszechnianiem kultury znajdujemy się na przedostatnim miejscu w Europie. Że po nas jest już tylko Albania.

Pan w kancelarii prezydenckiej, a i jego koledzy na różnych szczeblach urzędniczych, mogliby sobie przypomnieć, że jak informuje właśnie ostatnio prasa („Polityka”), trzy czwarte Polaków uplasowało się już na dwu najniższych poziomach analfabetyzmu. Umiera nie tylko książka, ale umiera również umiejętność czytania. Aby zwiększyć liczbę analfabetów, obecny minister kultury zaleca wprowadzenie VAT-u na książki,

co najbardziej nawet wyrozumiali dziennikarze cytują z niedowierzaniem.

O czym jeszcze mogliby ci panowie pamiętać? O tym choćby, że sprawami upowszechniania na każdym szczeblu administracji powinni zajmować się ludzie kompetentni. Niestety, coraz ich mniej widać na szczytach władzy. Ciekawe, czy mają ci panowie świadomość rosnącego regresu? Posiadają zapewne wiedzę o rosnącym zagrożeniu bezpieczeństwa obywateli, a także o patologii życia publicznego i o jego wzrastającej brutalizacji. Słyszą o morderstwach, włamaniach, gwałtach. Czy upatrują przyczyn tego w swoich także zaniedbaniach? Czy dojrzeli już do zmiany priorytetów w polityce społecznej?

Ukazujące się w prasie zdjęcia z pałacu prezydenckiego napawają w gruncie rzeczy goryczą.

Co zatem robić? Apelować, aby różni przedstawiciele środowisk opiniotwórczych nie żyrowali w najbliższym czasie, jak to czynili w przeszłości, politycznych weksli bez pokrycia. Zanim przyjmą zaproszenie do kolejnego rozdania kart, niech domagają się wcześniej konkretnych zabezpieczeń dla kultury.

Niech również domagają się właściwego obsadzenia urzędów powołanych do tego celu. W przeciwnym bowiem razie kultura stanie się przywiedłym kwiatkiem na brudnym politycznym kożuchu.